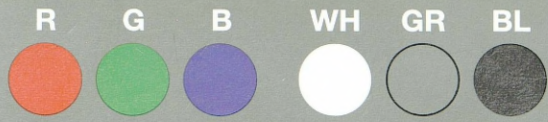


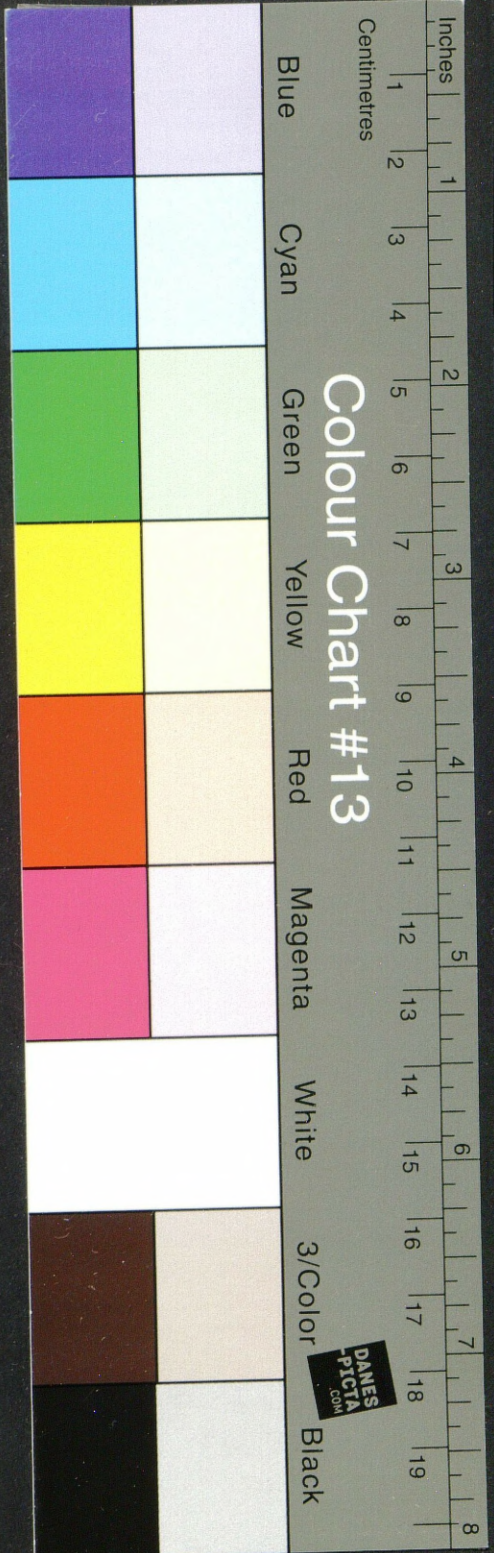
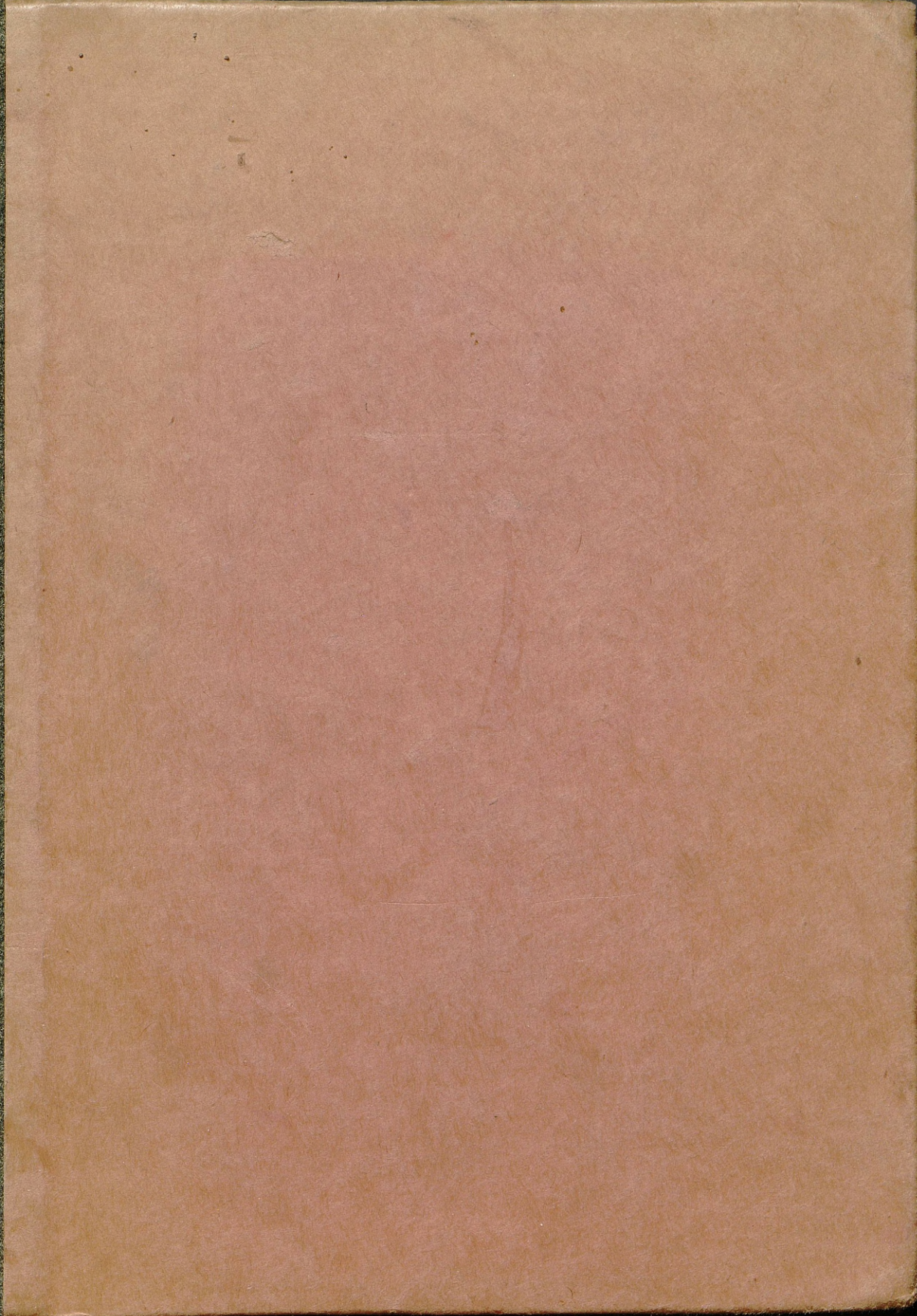
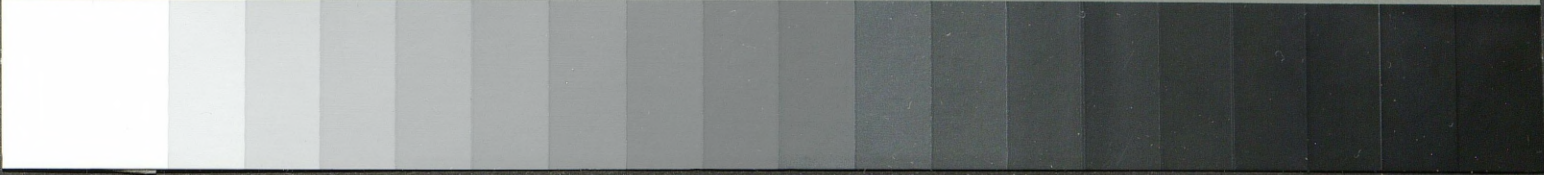
Part Code
ST1316



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Centimetres

Inches





NAD MORZEM

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI:

NAD MORZEM

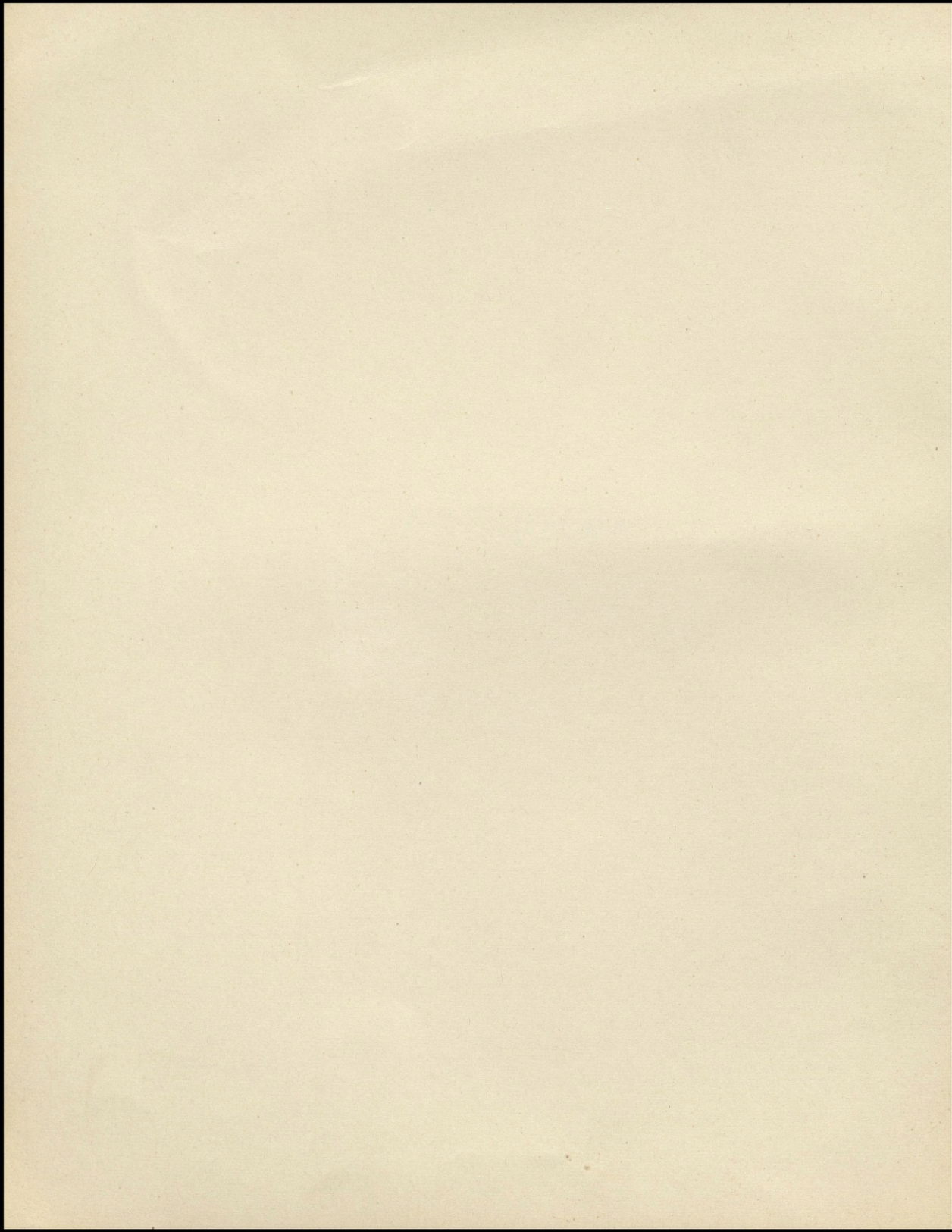
WYDANIE DRUGIE PRZEJRZANE PRZEZ AUTORA

KRAKÓW 1901 · ODBITO W DRUKARNI UNIWERSYTETU
JAGIELLOŃSKIEGO POD ZARZĄDEM J. FILIPOWSKIEGO

39592 | 2

LIBRARY OF THE
U. S. DEPARTMENT OF AGRICULTURE
WASHINGTON, D. C.

MODIITWA





Ty, która w czarne sny moje świetlanymi palcami wplatasz piękność wędniejących jesieni, blaski okwitłych przepychów, spiekłe barwy ogniem trawionych rajów, —

O jasna moja —

wiele bólu się prześniło, odkąd Cię raz ostatni widziałem, ale wciąż jeszcze łśni me serce nad gwiazdami, któreś w me życie rozsiała, wciąż jeszcze rwą się z krwi mojej dyszące ręce ku szczęściu, które mi kiedyś w duszy rozpałaś.

Ty, która w ciemnej pomroce cichymi rękoma przedziesz mi na zaczarowanych harfach ciężką zadumę o chwilach roz-

koszy, co jak poszum dalekich skrzydeł przewiały, o słońcach,
co w morzu tonąc, iskrzą się na zachodzie krwawą rosą,
o nocach, co do ciepłych piersi tulą serca zbolące —

O jasna moja —

już tyle razy słońce zapadło, odkąd kołaś czarem Twych
pieśni smutek mej duszy, a wciąż jeszcze widzę w smutnym
rozjęku Twe oczy, jak się żarzą w nieziemskim zachwycie
i jasną rękę widzę, jak się ku mnie wysuwa i w płonącym
krzyku chwyta za moją.

Ty, która mi noce burz na dni pogody przemieniasz, w głę-
biach snu mi jawy gasisz, w bezbrzeżne dale odsuwasz po-
bliża — która mi w sercu błędne ognie rozpalasz i czarne
kwiecie ku życiu niecisz —

O jasna moja —

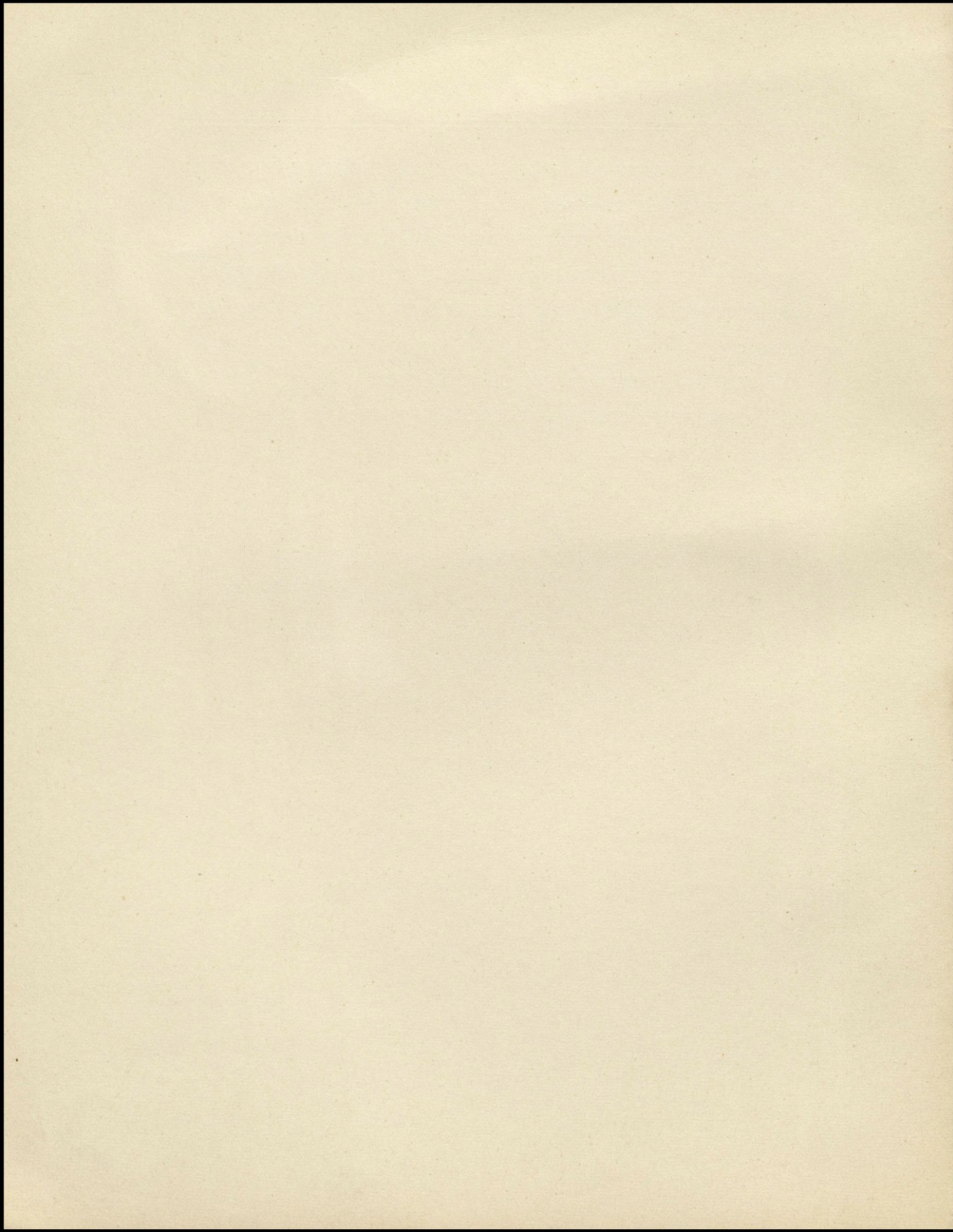
Już tysiąc razy świat się przeobraził, odkąd Twe ostatnie
spojrzenie chłonęło gasnące blaski mej duszy, a wciąż jeszcze
widzę Twą drobną twarz dziecka i złotą koronę jedwabnych
włosów wokół Twej skroni; widzę, jak dwie łzy spłynęły
w błądy uśmiech, co tlał na Twych ustach, i słyszę, jak głos
Twój ciemną skargą się żali.

Ty, która mi rozrywasz pieczęcie wszelkich tajemnic i czy-

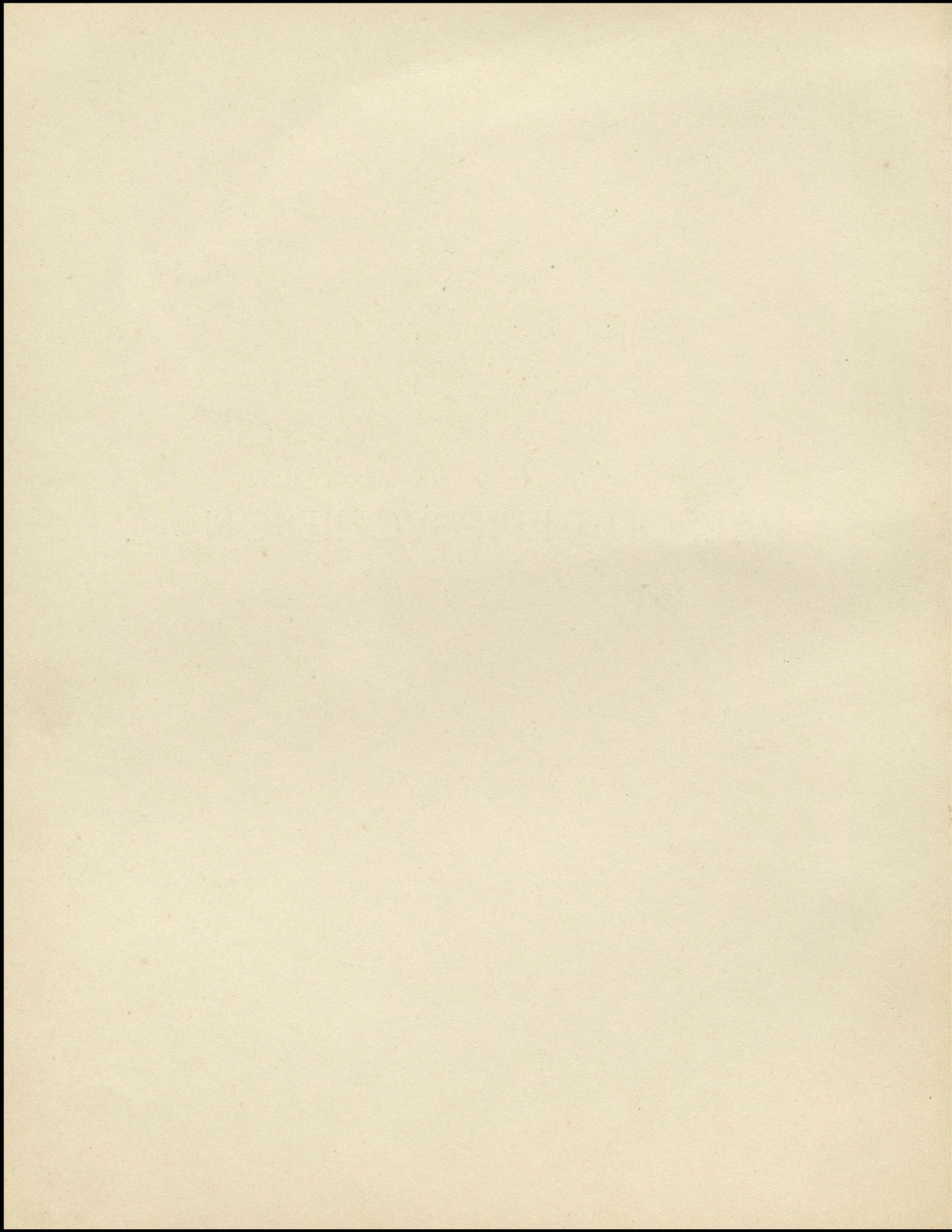
tasz runy ukrytych sił, a po wszystkich szalach mego życia
roztaczasz się tęczą łaski od jednego nieba do drugiego —

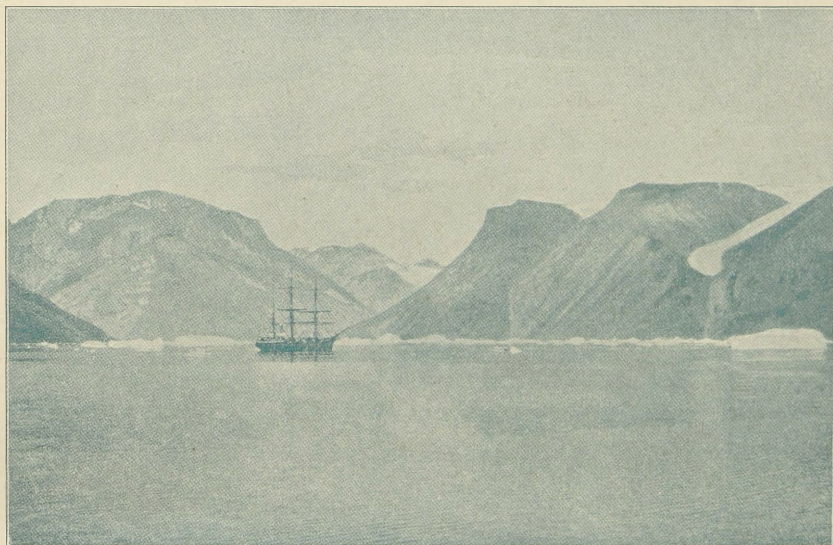
nigdy jeszcze nie wichrzyły się taką burzą gwiazdy moje,
nigdy jeszcze nie płomieniła jasność, co Twą skroń wieńczy,
tak krwawymi błyski, jak teraz, kiedym Cię już na zawsze
utracił.

Przed Twe nogi rzucam gwiazdy moje, stopy Twe oplą-
tam snów mych czarnym kirem, a w ręce Twoje kładę me
serce — me serce...



RAPSOD · I · EPIPSYCHIDION





Byłem królem!

Bezkrzesne było państwo moje, a bez granic potęga moja.
Dziś siedzę na złomach skał, patrzę na morze i myślę
o Tobie.

Morze się pieni; u nóg mych łamią się z głuchym łosko-
tem olbrzymie fale, a noc tak ciemna i dżdżysta.

Zamykam oczy i słucham.

I słyszę tajemny szum — wzmaga się i opada; chwilami
słyszę go gdyby zbłąkane echo z nieskończonych oddali, to
znowu wre mi w uszach gdyby kipiący war zatorów. I nie
wiem, czy to we mnie, czy po za mną ten straszny głos burzy?

I czuję, jak szum ten staje się czarnym jękiem mej duszy. Czuję, jak zapuszcza korzenie w najtajniejsze głębie mego serca, jak rośnie, jak naraz rozkwita w wielki kwiat boleści. A śmieje się dziko, śmieje się zgrzytem upiorów, rozgałęzia się w krzew, wrasta w każdy mój nerw, ssie rozkosz z mego bólu, kipi radością nad mą niemocą, rozdziera światło mych oczu, tak, że cały świat migocze gdyby krwawy szmat purpury i w ognistych łzach się rozkrapla.

Sam jestem na świecie. Sam jeden. Sam, bo stoję po nad wszelką burzą i bólem. Na szczycie najwyższych gór stoję w odwiecznym śniegu, odziany w najtajniejsze dale życia, i widzę, jak się przestrzenie rozszerzają, a cisza wokół mnie jako jedyny wir, który wszystko pochłania i moje dziś i moje jutro, moją rozpacz i... i... Ale otóż słyszę głuchy rozgwar; jak czarna chmura kłębi się podemną gniew i grzech życia, a lejąc się, gdyby strumień roztopionego złota, spadła pierwsza błyskawica... I widzę, jak się olbrzymie skały lodu rozluźniają i z przestachem sądu ostatecznego staczają się w dół. A trask i łoskot i grzmot stał się ciałem, rozerwał powietrze od góry do dołu, bo nie mógł znaleźć dość miejsca. Tylko ja, ja sam stoję niewzruszony w tym strachu i gniewie i burzy, ja sam panuję nad zniszczeniem, bo niema

bólu większego nad ten, który mi serce szarpie i niema strachu nad ten, co mi jadem trucizny mózg przegryza.

Ucichło...

Dwa krwawe światła na morzu. Dwa krwawe słońca, w których dwie wieczności się stopiły: — to Twoje oczy...

Piękno, niespożyte piękno jesiennej nocy nad morzem: — to Twoja piękność Początku, co czas i przestrzeń i mnie i Ciebie ze siebie wyłonił, — piękność przed-stworzenia, gdyśmy oboje w rokosznym spowiciu spoczywali.

Cisza w mem sercu, cisza bólu, co przestał już być bólem: — to cisza smutku Twej duszy, które kiedyś promieniłaś w parne noce mej ojczyzny.

...Bo byłaś piękna i czysta i jasna jak dusza dziecka, w której się święta ofiara chrztu dopełniła.

Bo byłaś tak przezrocza i powiewna, jak kłosa złotych zbóż w drgającym żarze południa.

Bo byłaś tak cicha i blada jak oddech nocy letniej, gdy miękka rozkoszą kwitnącego bzu w rosie się rozplywa.

Siedzę na skałach i myślę o Tobie, choć obłąd me myśli spowija.

Chciałbym Cię widzieć, jak idziesz w mrocznym blasku

przez moje ciemne komnaty, jak nikt nieś w lesie olbrzymich filarów mego pałacu. Och, widzieć tylko jaśnienie Twoich włosów, słyszeć najdalsze, najtajniejsze echo Twojego głosu, czuć niepojętą pieśczotę Twojej dłoni, oddychać powietrzem, przez które pływęłaś, pić tchnienie Twojego ciała...

Z całego świata spędziłem czarowników i magów, by mi tylko Twój cień wywołali, ale napróżno kreślili czarodziejskie znaki, napróżno palili perły i myrchę w olbrzymich kadiach. Patrzałem w metalowe zwierciadła, zakłete przez najpotężniejszych magów, patrzałem dniami całymi, aż oczy krwią mi zachodziły, by tylko ujrzeć mgłę Twoich oczu — popełniałem zbrodnie, od których mi dusza przegniła, by ubłagać króla podziemia i śmierci, — wszystko, wszystko napróżno.

Szatanie! Wykreśl mnie z księgi żywota, wpisz mnie w księgę śmierci i hańby wiecznej, ale pozwól, że raz jeszcze uczuję tę rozkosz nad wszelkie rozkosze, jak pierś jej się w moją wpała, jak usta jej się w moje wpijają, jak ręce jej dyszą na mej szyi w boleśnem upojeniu.

Przepotężny władco, Słońce-Szatanie, pozwól bodaj, że siedzie u łoża mego, że tylko dłoń swą na me czoło położy, że tylko jej uśmiech przez jedną sekundę w krew moją się wświeci, a dam Ci całe moje państwo, rozniosę pomór i po-

żogę po całym świecie, wyniszczę całe plemię ludzkie...

Ha!.. Patrz, Ja król, Ja wielki mocarz zebrzę łaski u Ciebie, i wiem, że napróżno...

Napróżno! Tam pozamną trawią ognie moje raje.

A byłem przecież królem!

Bezkresne było państwo moje, a bez granic potęga moja.

Panowałem nad pustynią i rajem, święte rzeki przerzynały sinemi bruzdami moje kraje, a trzy morza oblewały ich granice.

Miliony niewolników rzucały się przedemną na kolana i w niemej trwodze korzyły się przed synem słońca i światła.

Gdym zapragnął, to wprowadzano rzeki w nowe koryta, a pustynie zamieniano w rozkoszne raje. Gdym zapragnął, to w jednej nocy powstawały czarowne ogrody w krąg mych pałaców, a zaczem miesiąc, dwa razy swój bieg ukończył, sterczały grozną pychą ku niebu groby, którem dla ojców mych budował.

Najpotężniejszych mocarzy tej ziemi rzuciłem pod me stopy, bogom się odgrażałem, strącałem ich ze świętych pie-

destałów, bo nie było mocy, któraby się mojej porównać dała i nie było potęgi, któraby się z moją mierzyć mogła.

Bo byłem synem światła i słońca, a przed mym majestatem bladł wszelki blask i wszelka moc w proch się kruszyła.

Co dzień trzy razy modliłem się do słońca, bom kochał słońce, kolebkę moją, matkę moją, święte moje łono.

Bezgraniczne szczęście i bogactwa bez miary sypało szczerą dłońią na syna swego.

Po wszystkich morzach dęły się białe żagle mych okrętów, a często, gdy z tarasu mego pałacu patrzyłem na morze, przesuwały się okręty przed moimi oczyma, gdyby niezliczone stado białych albatrosów.

Po wszystkich krajach stali bojownicy moi, których słońce w pustyni wylęгло: czarne plemię olbrzymów, wykarmionych mlekiem lwic; a gdy przed tarasem mego pałacu zagrzmiały trąby niezliczonych hufców, to ziemia ugiwała się pod ich ciężarem, a na ich srebrnych tarczach i hełmach wykrzykiwało słońce radośne hejnały.

I nic nie było pod słońcem, coby się nie korzyło przed moją potęgą.

Aż jednego dnia, gdy szeregi wojsk moich wróciły z da-

lekich wypraw, stanął najstarszy z wodzów przed moim tronem i rzekł:

Panie! poszliśmy daleko poza granice Twego państwa. Daleko poza trzy morza, które kraje Twoje oblewają, powiozły nas Twe okręty, aż dotarliśmy do granic świata. I tu na zrębie globu gdzie ziemia się kończy, wkroczyliśmy w jakiś dziwny kraj.

Blask słońca tam nie grzeje, a słońce stoi nieruchomie na niebie gdyby olbrzymi topaz. Dzień zda się być wiecznym mrokiem, a z niewidzialnych źródeł promieni ziemia mętne światło, co niechętnie się wgryza w mroczny cień.

Łupu nie znaleźliśmy żadnego, bo jest to kraj cieni i mroku. Ziemia nie przynosi owoców, a lud ten nie z naszego świata.

Alem bał się, o Panie, stanąć przed Twoim majestatem z próżnemi rękoma.

Więc wziąłem na okręt dziewicę z tego kraju, bladą, jak nasze noce księżycowe; jej głowa tak jasna, jak gdyby się słońce na niej stopiło, a głos jej tak cichy, jak pieśń, którą wiatr w wieczornym zmroku przez morze przewieje, i tak tajemniczy, jak najskrytsze uczucie, które się jeszcze myśla nie skalało.

Widzę Cię, jak idziesz wolnym i cichym krokiem przez rozstępujący się szereg moich wodzów.

Pomnę: było to, jak gdyby listki z róży opadały, gdy ją wiatr muśnie — było, jak gdyby ciche perły deszczu jesienno-ego w ciemnej nocy lkały — było, jak gdyby się cała wieczność głębokiem westchnieniem po niebie prześlizgła.

A stała się cisza w sali, cisza niebieskiej godziny, gdy całe przestworze wsłuchuje się z zapartym oddechem oczekiwania w przepotężne zapasy świtu ze zmrokiem.

I szłaś coraz wolniej i coraz ciszej, płynęłaś jak najskrytsze echo wieczności, i coraz bliżej... Czuję, jak się cofałem w tajemnej trwodze, jak cała sala w bezmierne dale uciekać jęła, jak mglisty blask zalewał komnatę...

Naraz stanęłaś.

A teraz widzę Twoje oczy we mnie wpatrzone, ciemne, jak otchłanie niebieskie, smutne jak poszum wiatru jesiennego w nagim parku, a słodkie jak jaśnienie morza w ciemnych nocach.

Zapomniałem o mej potędze, zapomniałem o mej mocy, którą światło porodziło; widziałem słońce stojące na niebie gdyby olbrzymi topaz, a na ścianach poczęły wyrastać olbrzymie, martwe paprocie. Całe moje bezkresne państwo stopiło się w spowiciu naszych oczu w jeden marny pył słoneczny:

padłem przed Tobą na twarz, a Ty niewolnico moja, stałaś się panią i królową moją.

Przyszłaś z mrocznych oddali, gdzie słońce świeci smutnym blaskiem rozstania, czerwone jak szafran. Pod Twojem niebem szłaś w tej wiecznej pomroce, jak się idzie w dziewiczych lasach moich krajów pod gęstymi splotami lianów i rozłożystemi liśćmi tysiącletnich palm, co wszelkie światło głuszą.

Z kraju wiecznych cieni przyszłaś do mnie, z kraju, co przypomina dawno już zapadłe światy. Twoje morza oddawna zamarły i lśnią posępną barwą zielonego opalu. Twoje góry, pełne zmor i upiorów, zapadają w dziwnie spletanych łańcuchach w morze, a zieleń Twych lasów, to omszała patyna, jaka miedziane kopuły moich pałaców pokrywa.

Przyszłaś jak promień, co się z miliona lat odległej gwiazdy na ziemię zabłąka.

Spłynęłaś, jak sny spływają na serca, syte bólu i rozkoszy.

Wiatr Cię przewiał przez morze, jak przewiewa „Anioł-Pański“ dalekich dzwonów w śniegiem jaśniejących wieczorach zimowych. Nie słyszy się wtedy dźwięku, ale czuje się dzwony w sercu, jak łopot skrzydeł przebłyskujących wspomnień.

O pani moja — przyszedł do mnie w słoneczne cuda mojego państwa, w straszne żary do białą rozpalonego słońca, co rzeki wysusza, przyszedł do mnie tak cicho i smutnie, jak noc, gdy na zbolące serca krwawym smutkiem spływa.

O pani moja — przyszedł w moje kraje, gdzie nawet w nocy parny upał ogniem przesyconej ziemi dech w pierśiach zapiera, a gwiazdy płoną jak krwawe rumieńce febry, które rozwścieczone serce wszechświata na niebie wypieka.

Twoje oczy patrzyły z pytaniem, pełnym lęku i przestachu, w te słoneczne odmęty ojczyzny mojej.

Krwia zachodziły od pożaru słońca, Twe ciało paliło się jak w gorączce, a na skroniach nabrzmiała sieć żył, jak gdyby Ci je rozerwać chciała.

I kryłaś się w najdalszych głębiach mego pałacu, ciężkim jedwabiem zasłoniłaś okna, a wszelki odgłos głużyłaś kołniercem, w którym nogi tonęły.

Jeszcze Cię widzę, jak idziesz cichym krokiem lęku przez szeregi ciemnych komnat, jeszcze słyszę odgłos Twych kroków jak gasnące akordy harfy, jeszcze gra muzyka Twych ruchów niespożytą piękność w mem sercu.

A w Twych, jasnych włosach chwieje się czarna róża.

Smutkiem Twego czoła trawiona, chwieje się w bladym jaśnieniu Twych włosów.

I kochałem Cię jako wspomnienie czegoś, com dawno zapomniał, com kiedyś przeżył, gdym razem z Tobą w prałonie pił wieczność.

Kochałem Cię — Ciebie jedyną — i w strasznej trwodze czuwałem nad Tobą, by mi Cię słońce nie zabiło.

I zapragnąłem mieć taką moc, by zakląć niebo w chwili, gdy zmrok się coraz wyżej na niem piętrzy, a ziemia parną miłość słońca z powrotem ku niebu promieni. — Oh, tą godzinę, niebieską godzinę zadumy i tęsknych upojeń przykuć na niebie, gdy w sercu błędne sny się rozmajaczą, a jego tęsknota wybiega daleko poza wszelkie dale, daleko poza góry, co dziwnie rozwichrzonymi szczyty w niebo wykrzykują, daleko poza morza, co się same w siebie zapadają, daleko poza upiorne cuda słońcem przeżartych stepów mego kraju.

I zapragnąłem mieć taką moc, by módz poślubić świt ze zmrokiem, niepojęte barwy rozlać po sklepieniu niebieskiem; nowe niebo pragnąłem rozesać nad ziemią, by Ci żaden dzień białym światłem duszy nie mącił, a żadna noc nie kielznała Twego tęsknotą rozpalonego zwroku.

Och niebo, nowe niebo bez słońca, niebo dyszące zielo-

nem światłem nocy polarnej, mistyczne niebo z mroczonych
świtów i zmroków spowite.

Począłem przeklinać słońce!

W ciemnych komnatach siedziałem przy Tobie, widziałem,
jak oczy Twe w przeczuciu śmierci coraz boleśniej, się roz-
szerzały jak twarz Twa przeźroczyła i stała się jasną, tak
jasną jak twarz dziewicy, konającej w upojeniu miłosnem.

Aż wreszcie po długich dniach trawiącej rozpaczcy znalaz-
łem słońce, któreby Ci słońce Twego kraju przypominało
i znicestwiło chytrą moc mego słońca.

I wysłałem gońców na wsze strony świata, by szukali ko-
sztownych kamieni, z których Ci to nowe słońce stworzyć
miałem.

Z Indyi przywiozły moje okręty olbrzymie dyamenty py-
szone i czarowne jak skamieniałe światło, chłodne jak ręce
umierających dziewczic, a kojące jak szerokie liście nenufarów.

Z Grecyi przysłano niebieskie szafiry, które kiedyś zdo-
biły pół-księżyc Artemidy, czyste i słodkie jak Twoje
serce.

Kapłankom Galów wydarto ich święte szmaragdy, z któ-
rych przyszłość czytały, szmaragdy, co w sercu płomienie

miłości niecą, a przed upojonym zwrokiem przesuwiają niepojęte rozkosze raj.

Asyryjskim Hakumim odebrano podstępem i przemocą chrysolity, co jak zamarźle promienie zimnem światłem kwitną — chrysolity, co szwały koją, rozpędzają nocne widma, a rozpasane burze w przedwieczne cisze kołyszają.

Z nieznaných krain przywlekli niewolnicy moi nieprzebrane skarby: czarne achaty z białemi żyłkami, zielone hyacynty z czerwonemi pręgami i ciemne jak otchłan jantary, co moc nad ziemią a nawet nad bogami dają.

Całą ziemię poszarpano w kawały, by znaleźć rzadkie a drogie kamienie, wszystkie morza przeszukano, by znaleźć perły i korale, a w ciemnych Twych komnatach gromadziły się niestychnane skarby: kamienie, na których się kleiła jeszcze krew kapłanów i czarowników, beryle, co umarłych wskrzeszają, oryty, co w sercu nędzarza jad rozkoszy szczepią, głuche chalcedony, co wieczną młodością śmiertelnych darzą.

A potem znowu kamienie, ziejące zniszczeniem i wściekłością jak oczy głodnych tygrysów: czarny onyx, który wszelkie otchłanie bólu i rozpaczy roztwiera, — mętny opal, co wokół mózgu białe mgły obłędu roztacza.

A było jakby się tysiącznobarwne, zastygłe gwiazdy zlały w jedno olbrzymie, martwe słońce.

Z posepnem lśnieniem achatów i orytów zlewała się smętna a bolesna toń światła fioletowych ametystów. W pyszne świetlane dytyramby dyamentów wślizgał się ostrym promieniem wilgny chłód onyxów, zielonawa rozłęcz topazów tańczyła z hyacyntami rozpasane fanfary światła, o obcych gwiazdach śniły szmaragdy, a w niebieskie światło mroku promieniły szafiry swą dziewiczą czystość.

I w rozszalałym rozmęcie światła, w dzikim rozgwarze blasku, w płomiennym zgiełku dyamentów, w tym krzyku i wirze rozwścieczonego słońca szłaś ku mnie z głęboko na piersi spuszczoną głową; stanęłaś, i cichy smutek bił z Twego czoła.

Panie! nie tego słońca mi trzeba. Daj mi Twoje słońce. Przeklnij Twoje słońce, matkę Twoją, Twoje święte łono, a straci moc nademną.

Drgnąłem. Zdawało mi się, że ziemia mi się z pod nóg usuwa, że posady mego pałacu zadrżały, że ciężka posowa się nad moją głową zarywa.

Było, jakby całe niebo na mnie spadało. Tylko lśniące powodzie światła kamieni pryskały tysięcznobarwną pianą w moich oczach.

A wciąż czułem oczy Twe nieruchomie we mnie wpite z ciężkiem milczeniem, co jak olbrzymia błyskawica po ścianach się rozlewało.

A milczenie zapełniło cały pałac, chłonoło światło i blaski, kamienie zagasty, a w głuchej ciszy słyszałem bicie Twego serca jak kołatanie u bram wieczności.

Czułem, że muszę coś odpowiedzieć, a jak obce echo odbił się o zimne ściany mój własny głos:

Przeklinam słońce. Nigdy go już ujrzyć nie chcę!

I wzięłaś moją głowę w Twoje jasne ręce, słowa nie rze-
kłaś, czułem tylko gorący pocałunek, co w drżącym pragnie-
niu po mej twarzy błędził.

I znowu płonęło milczenie wokół zimnych ścian, aż naraz
dziki kwiat w radosnym krzyku wytrysnął z szeroko rozwar-
tem łonem w niebo:

Jam Twoja! Weź, przytul, zabij!

Od tego czasu kochałaś mnie.

Miłość Twa była biała i czysta i miękka jak skrzydła me-
wy polarnej.

Czułem Twe serce, jak żarem mego słońca namiętnie na
mej piersi dyszało, a w krew moją wspiewałaś mi dzikie
raje, wspiewałaś obce czary, słowa obłędu i upojenia, słowa,
które serce moje pieściło, całowało i tuliło, słowa, których
nie rozumiałem, ale które dusza moja widziała nagie i żyjące,

które raz już kiedyś przeżyła, gdy wszechistnieniu śniła początek.

I byłem szczęśliwy. Byłem szczęśliwy, chociaż czułem, że zagłada nademną wisi, że zbliżają się chmury, pełne czerwonych błyskawic, zniszczeniem brzemienych.

Nieskończone godziny spędziłem u Twych stóp. Czasami krzyk strachu wdzierał się w krtań, czasami rozpacz żłobiła długą upiorną ręką, głębokie bruzdy w mej duszy, ale byłem szczęśliwy.

A słońce czekało na mnie, czekało. Od rana do późnej nocy czekało na swego syna.

I szło wolniej jak zwykle, około południa zdawało się stać nieruchomie, a tylko niechętnie zapadało w morze, by niezadługo znowu wypalać zemstę na mojej ziemi.

Codzień stało nad moim pałacem i czekało, czy nie wyjdę, czy się do niego modlić nie będę, czy nie będę żebrać łaski i przebaczenia.

Ale napróżno czekało. Co dzień silniej nienawidziłem je i co dzień silniej bałem się jego zemsty.

Rok cały spędziłem w ciemnym grobie mego pałacu.

Nigdy nie mówiłaś o Twej ojczyźnie, ale czułem ją wokół mnie, nademną, w sobie, boś odtąd się stała ojczyzną moją.

Twoje spojrzenie wcałowało w serce moje upiorną godzinę Twych gór gdyby obezwładniającą truciznę, Twoje ręce wczarowały w me myśli zwiędły smutek Twego kraju cienia i śmierci, a głos Twój przeświecał w mych snach barwą roztopionego opalu, barwą Twych martwych mórz.

Szedłem przy Tobie, to zdawało mi się, że noga moja zapada się w odwiecznych mchach, a ze wszech stron słyszałem Twoje lasy, jak szeleściły w zielonawym blasku omszałej patyny.

A gdy noce przyszły, noce krótkie i jasne jak wzrok tygrysa, co swą klatkę rozszarpał, gdy ręce Twe w błędnej zadumie błądziły po strunach harfy, a tony spływały gdyby niebieskie nitki topniejącego śniegu po bezmiernych obszarach lodu, wtedy rozwinęła tęsknota moja swe spętane skrzydła, mój wzrok błąkał się po księżycem oblanych dachach mego olbrzymiego miasta, wybiegał na morze, rwał się daleko poza krańce nieba, targał się ku słońcu, ku słońcu, co za morzem zemstę knuło.

Och, jak wtedy za słońcem tęskniłem!

Tylko raz jeszcze je zobaczyć, raz jeszcze, gdy pod za-

chód czerwoną łuną nad morzem się pali, raz jeszcze, kiedy pożarem światła się żagwi na dachach mego miasta, raz jeszcze, gdy w dzikim tryumfie zapory nocy rozrywa.

A coś rwało mnie i szarpało, moje serce wykradało się poza morze, chłonoło słońce, którego tak dawno nie widziałem, i w błędnym szale poilo się jego cudem a w krzyczącym uniesieniu witałem słońce, matkę moją.

Ale wciąż od nowa tłumilem rozpacz mej duszy, a w ciemnej otchłani twej żądy konała tęsknota.

Bo czułaś walkę w mem sercu. Za każdym razem, gdyśmy przed świtem wracali do naszych komnat, to czułem, jak ręce Twe mocniej mnie kochały, jak oczy Twe głębiej i goręcej się w me serce wchłaniały, jak co noc ciało Twe płomienniej się przy piersi mojej pieniało.

Ale przyszedł czas, gdy serce me stężało w krzyku za słońcem.

Wzrok mój błądził w mrocznej sali po kryształowych kwiatach, którem Ci na ścianach kazał wyźłobić, a chorzał od zimnego blasku kosztownych kamieni, co w żyły moje lśnieniem pleśni się wświecały.

Ręce moje stały się przezroczyście, a głos mój brzmiał obco i głucho; coraz silniejszym płomieniem buchała tęsknota za dniem, za drgającym żarem słońca, za słońcem poł-

dnia, kiedy całe państwo moje w jedną pustynię światła się stapia.

A z boleśnym smutkiem nurtował wzrok Twój mą duszę, ręce Twe stały się obce i dumały o innych światach, oczy Twe błądły i zwróciły się ku duszy, wsłuchane w jej straszłą gęźbę.

Nad miastem stało nieruchomie słońce i legło mór, głód i zagładę w państwie mojem.

Wypalało zboże na polach, suszyło rzeki i jeziora; bujne pastwiska czerwieniały spalone gdyby jedna zgangrenowana rana; ciało ludu mego odpadało, strawione ogniem, w ropiących się ochłapach od kości, a przed moim pałacem słyzałem lud mój nieszczęsny, jak ryczał z głodu i rozpaczy, gdyby krwi chciwa hyena; słyzałem jego przekleństwa, co jako ogień siarczany na duszę moją się lały.

Alem nie wyszedł na taras, choć wiedziałem, że mógłbym słońce przebłagać. Nie szedłem się modlić do słońca, bom wiedział, że Ciebie jego zemście poświęcić muszę.

A Ty siedziałaś w najciemniejszym kącie komnaty, drząc z przestachu i lęku, a dźwięki Twej harfy krwawiły fioletową rozłęcz łkających ametystów.

Wiedziałaś wszystko. I padłaś do nóg mych i jękałaś:

Idź, idź w słońce! Pozwól niech mnie zabije!

Nie poszedłem. Dusza moja stępiała w nadmiarze bólu.

Aż jednego dnia rozbiło wściekle plemię ludu mego w spienionym szale bramy pałacu mego i przyczołgało się przed mój tron.

Zadrżałem.

Co się stało z moim ludem!

To obrzydliwe robactwo, obciążnięte ropiącą się skórą, to lud moj!?

Zakryłem oczy i krzyknąłem w strasznym gniewie: Precz z moich oczu, precz!

Ale lud mój z miejsca się nie ruszył.

I jak na dany znak padł krzyżem cały mój lud przed moim tronem i w dzikim przerażeniu patrzyłem na olbrzymi cmentarz szkieletów na krzyż rozciągniętych.

Potem już nic nie widziałem.

Czułem tylko, jak mnie wynoszono na taras, oczy moje błąkały się w błędnym przerażeniu po głowach trupich mego ludu, obciążniętych obrzydliwą skórą, po sterczących kościach rąk, z których ciało odpadywało, rąk, rozpaczą i błaganiem krzyczących. Widziałem oczy płomieniejące wściekłością zdychających jaguarów, żądnych msty i mordy, a w krwiożerczym szale ryczał mój lud:

Daj nam białą niewolnicę! Na krzyż z nią! Na krzyż!
Słońcu w ofierze!

Tak nie szaleje Tai-fun, kiedy morze z najgłębszych cze-
łuści pod niebo rzuca, a największe moje okręty gdyby sła-
bo sklejone pudełka gruchoce, tak nie szaleje Samum, kiedy
góry piasku na moje karawany ciska, lub całe mi piaskiem
zalewa, tak nawet nie szalało słońce, kiedy mór i głód w mo-
jem państwie lęgło.

A naraz stała się cisza.

Jak gdyby niewidzialna kosa cały naród gdyby snop zboża
jednym zamachem podcięła.

Na taras, w żar pomorem ziejącego słońca, wyszła wol-
nym i cichym krokiem moja biała niewolnica. Oczy jej były
zamknięte, a twarz bólem skrzywiona.

Z rękoma na krzyż szła wolno ku mnie.

Chciałem krzyczeć, chciałem ją porwać w me ramiona,
ale jak gdyby wszystko życie we mnie zamarło, stałem nie-
ruchomie i patrzałem.

Teraz staje, teraz błądzi niepewną nogą po ogniem rozpa-
lonych płytach: jeszcze jeden gwałtowny wysięk: stała się
tak białą, że się w słońcu rozpływać zdawała — jeszcze je-
den krok, jeden krzyk straszliwy:

U nóg mych padła bez życia...

Straszną była zemsta moja.

Całymi miesiącami pastwiłem się w dzikim obłądnie nad moim ludem.

Tysiące kazałem wbić na krzyż i poilem się rozkoszą wściekłego tygrysa nad mękami konania, tysiące poszarpał w kawały święty wóz, najeżony brzytwami; paliłem całymi stosami wokół miasta moich niewolników, ale z radością znosił naród wszystkie chłosty, plagi i męczarnie, bo otóż otworzyło się niebo nad mem państwem, chłodne wiatry przewiały pomór daleko poza trzy morza, a w jednej nocy rozkwitła ziemia w pysznym bogactwie.

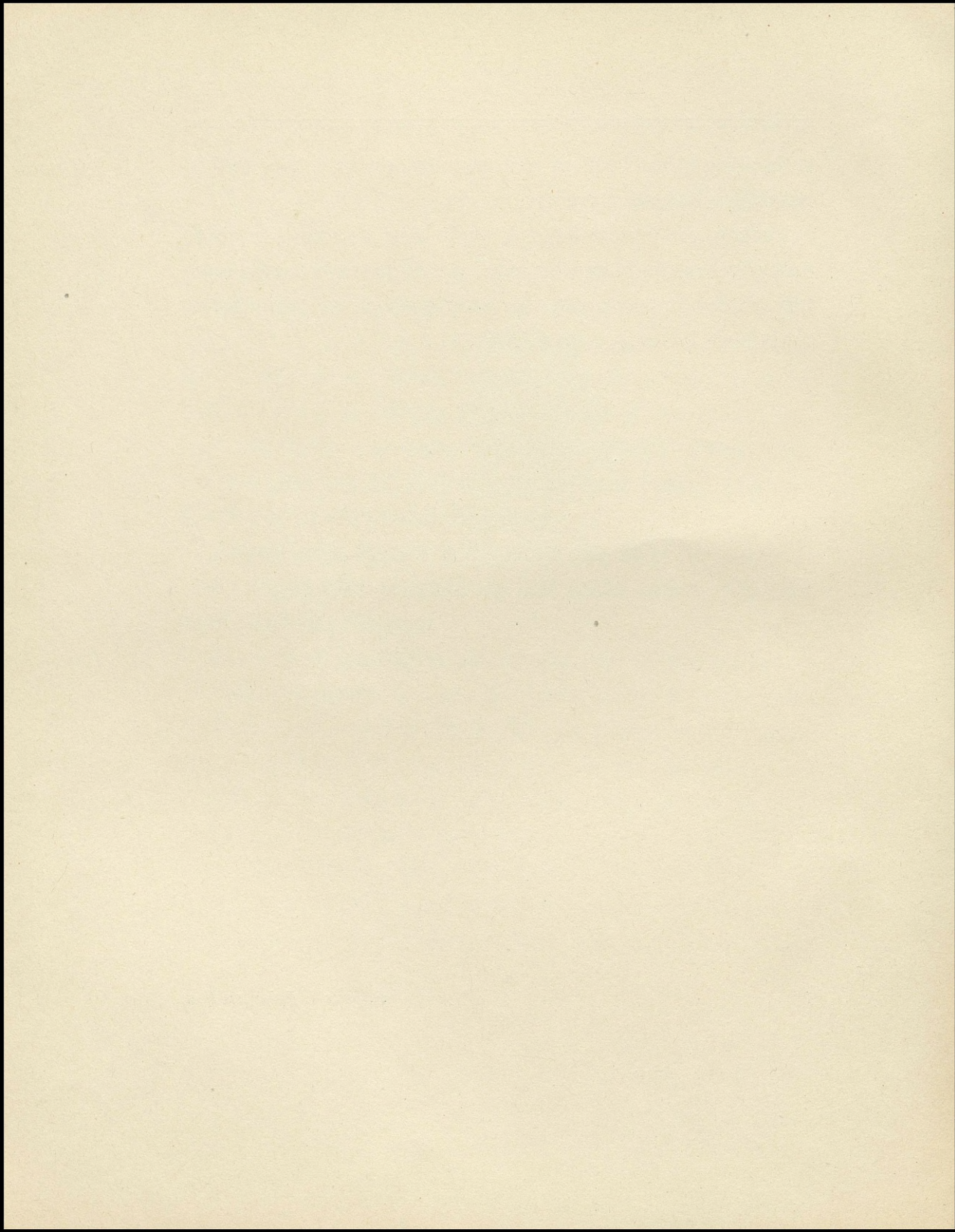
Zemsta moja stępiała, a dusza co tak długo z krwiożerczem pragnieniem pastwiła się nad moim ludem, obezwładniała bezsilną rozpaczą.

Raz jeszcze przekląłem słońce, raz jeszcze przekląłem to niewolnicze plemię, co się zwie moim ludem, a potem zamknąłem się w najtajniejszych głębiach pałacu, gdzie jeszcze niedawno Twe blade ręce moje serce do snu kołysały.

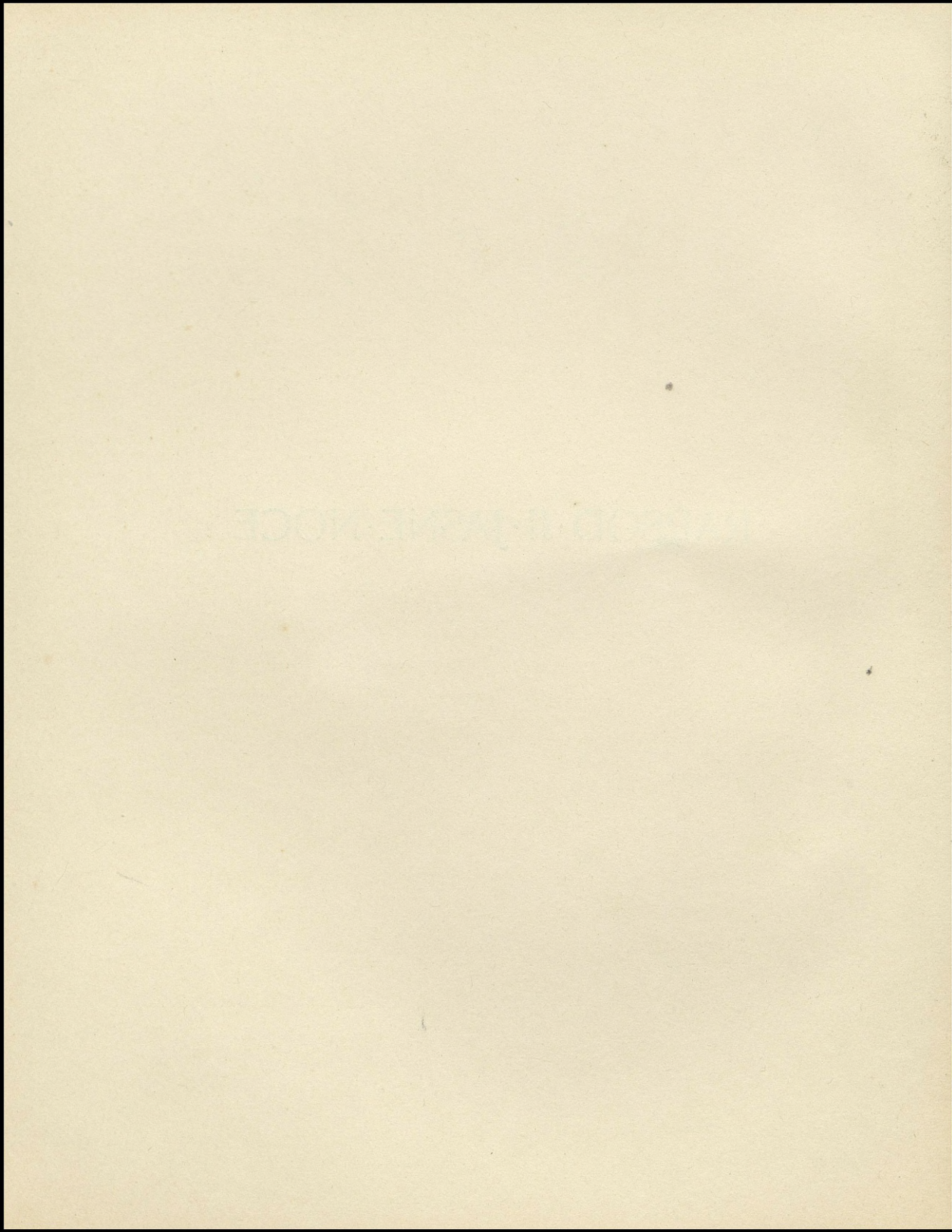
I słyszę, jak Twa harfa jęczy, widzę jaśniejące mgły, któreś jeszcze niedawno w gęsty mrok promieniła, i słyszę Twe serce, jak kołacze, puka, wabi mnie i woła do Ciebie, do Twej ojczyzny, nad którą słońce w sennym zmroku spoczywa, czerwone, jak szafran; do Twej ojczyzny, gdzie morza

łśnią posępnym blaskiem roztopionego opalu, a lasy świecą
omszałem łśnieniem patyny.

Zaczem raz jeszcze księżyc swój bieg ukończy, rozepnie
mój okręt swoje białe skrzydła, i powiezie mnie daleko poza
trzy morza w mą nową ojczyznę księżycową, do Ciebie,
moja biała królewno, do Ciebie...



RAPSOD · II · JASNE · NOCE





A otóż nadeszła godzina, błękitem spowita, godzina bólu i tęsknoty. Sny mych nocy zlewają się z jawą dnia; złudną tęczę sennych wspomnień roztajemniczyła się ma dusza, w mrocznych czeluściach wykwitają na nagich gałęziach ciężkie kiście złotego kwiecia, wokół na skałach śpią czarne ptaki złowrogich wróżb, a miliardy gwiazd sieją błyszczący szron na głębie morza.

Nigdy Cię jeszcze tak smutnej nie widziałem.

Tak smutne widziałem pola w Zaduszkach. Wiatr miótł przed sobą zwiędłe liście drzew, gwizdał w zeszcłej trawie, osiadł się na szronem ściętym stepie; posepnie szumiała noc nad

grobami, w upiornem milczeniu stały, gdyby widma, nagie topole nad drogą, a w błędne bezdroża ciemności wżerało się blade światło dalekiej chaty.

Tak smutnie zapadało raz słońce późną jesienią. Cały dzień padał deszcz. Cały dzień jęczał na brudnych szybach okien, jęczał, łkał i zawodził, a niebo zwieszało się nad głową ołowianym całunem smutku i beznadziei, i wślaczało się w duszący tęsknotą i niepokojem. Nadeszła chwila zmroku, ale słońca widać nie było, tylko jakieś słabe, brudne jaśnie- nie zczołgało się z trudem krańców nieba i znikło.

Tak smutną widziałem raz mewę z złamanem skrzydłem, jak w czasie przyptywu siedziała na zrębie skalistej wysepki. Już przelewały się fale przez kamienne złomy, coraz wyżej piętrzyło się morze; zbita piana opryskiwała białe ciało ptaka, a w niemem przerażeniu patrzyła drżąca mewa na coraz nowe, coraz silniejsze fale, czuła, jak śmierć się zbliża, straszna, nieubłagana śmierć. Raz jeszcze próbowała rozwinąć swe skrzydła, raz jeszcze opadła bezsilna na ostrej rafie skały, wtuliła głowę między swe białe pióra i w beznadziejnym smutku czekała śmierci.

I tak smutną słyszałem raz, ostrym wiatrem poszarpaną pieśń nad grobem dziecka w mroźnym styczniowym poranku. Suche zawieje śniegu kłębiły się w powietrzu, wiatr ciał

drzewa i łamał ich zmarzłe korony, a na małą trumienkę spadały grudy ziemi, spadały i jęczały ostatnią kołysankę.

W niebieskiej godzinie, bólem i tęsknotą spowitej, w gasnących czarach zapadłego słońca widziałem Cię — ale tylko przez błysk sekundy, bo już spłynęłaś gdyby cień ziemi w zaćmieniu słońca i złałaś się z czarnem milczeniem nocy.

Spłynęłaś gdyby cień ziemi, tylko jedno spojrzenie wpląkało się w mą duszę: spojrzenie, pełne łkającej tęsknoty, bezsilne i żarliwe jak rozmodlona prośba dziecka.

I rozpieściłem Twe błagalne spojrzenie jak echo najodleglejszych wspomnień szczęścia, jak gasnący dźwięk zerwanych strun — i szukałem Cię — szukałem...

Po wszystkich morzach błędziły me okręty, ale nie mogłem odnaleźć Twej białej ojczyzny; zbiegłem pół ziemi, ale nie mogłem pochwycić Twego wzroku, co w mojej duszy czarownym kwieciami się rozmaił.

O, daj mi Twą rękę!

Korzyłem się niegdyś przed wszechpotężną ręką ludzkości. Najrozleglejsze dale zbliżyła ku sobie, żelazne tęczę rozwie-

siła nad czelustną przepaścią, góry poprzewiercała, ziemię poryła, rzeki wprowadziła w nowe koryta, w marmurze wskrzesiła życie i piękność, w twardym granicie haftowała tkanę najdelikatniejszych koronek, wszelką piękność stworzyła, spełniła wszelką tęsknotę, —

ale czemuże mi ta wszechpotężna ręka ludzkości, jeśli czuje Twą białą, wązką dłoń, gdy się jaśniejąca z ciemności ku mnie wysuwa, gdy moje serce obejmuje, jak przeciągły akord rozplakanej harfy, a ponad mętną toń mego życia rozpościera gwiazdzistą jaśń Twych złotych splotów!

O, daj mi Twą rękę!

I spojrzuj na mnie!

Widziałem wszystkie cuda i piękność tej ziemi. W łonie wieczności widziałem olbrzymie słońce, gdy lało w nagą ziemię płomienną krew ognia, przeżyłem rozkosze raj, grzałem się w blasku, jaki królewska korona moja roztaczała od jednego bieguna ziemi do drugiego, budowałem piramidy i sprowadzałem na tysiące mil wody morza do pustyń piasku, widziałem przerażającą piękność oceanu, gdy potopem ziemię zalewał, widziałem jak ziemia pękała, a wszechistnienie stanęło w pożarze —

ale czem mi cała piękność i moc cała, kiedy Twój wzrok
na moją duszę pada, czarowne kwiecie w niej budzi, co z sze-
roko rozwartym kielichem pije tęczę niebieską — zapomnienie!

O, spojrzuj na mnie, jak w onej ciemnej nocy, kiedy zie-
mia i morze w żałobnej pomroce spłynęły!

Milczeliśmy, ale dusze nasze objęły się i spłotyły, i dumały,
dumały: —

o wiecznej ciszy, w której się słyszy rozdźwięk promieni
gwiazd w kształt gasnących strun, —

o bezmiernej jasności, kiedy niebo ziemi nie dotyka, a
wzrok bezgraniczny i bezcielesny we wszechświatach tonie, —

o omszałym przepychu odwiecznych sarkofagów, w któ-
rych świecą pleśnią popioły ciał królewskich, —

o cichych morzach, co śpią w martwej, jak lustro czystej
pomroce, —

o milczących ptakach, co bezgłośnie z wiecznie rozpostar-
temi skrzydły mkną przez bezsłoneczne dale, —

o zamarłych miastach, których cichego zmroku nie maści
światło ni ciemność, o miastach bez cieni, co żyją odbłaskiem
niewidzialnych gwiazd...

Tak siedzieliśmy zadumani i cisi, śniliśmy snem nie z tego

świata, bo niema równej piękności, jak śnić o zamarłym przepychu, oprzędłym odwieczną pajęczyną, o rdzą przeżartych koronach królewskich, o zielonym blasku starością zapleśniałych wspomnień.

Siedzieliśmy, a w sennem zadumaniu błędziły długo Twoje oczy, aż wświeciły się w moją duszę, Twoje senne, pięknoscią upojone oczy —

raz jeszcze spojrzuj tak na mnie!

I przemów do mnie!

Chętnie słuchałem, kiedy na tarasie mego pałacu, w świetle księżycy, jakaś obca niewolnica strącała srebrnymi drążkami ze strun cytry rozplakaną pieśń tęsknoty: ciemną pieśń, jaką szumią palmy w samotnych oazach, jaką płaczą wysmukłe cyprysy nad zapadłymi grobami; z szumem stalowych skrzydeł biło me serce, gdy me wojska w groźnych rytmach surm i rogów mosiężnych ciągnęły na wojnę; długie godziny wsłuchiwałem się w posępny rozgwar morza, aż mi dusza drżała z pokory i strachu przed głosem wieczności, —

ale czem mi wszelki dźwięk, czem wszelkie upojenie pieśni i tęsknota cytr i harf, kiedy słyszę Twój głos, gdy czerwonym światłem gasnącego słońca tka bogaty przepych

mych dumań, a w me sny wplata pałające żary jesiennych kwiatów...

Och, przemów do mnie!

Błądziłem po wszystkich morzach, a nie mogłem odnaleźć Twej białej ojczyzny księżycowej; wiele krain przeszedłem, a nie mogłem pochwycić Twego wzroku; słyszałem morza, słyszałem ludzi, ale nigdy nie zadrgał dźwięk Twego głosu na strunach mego serca...

Wszystko tylko snem, jednym, długim snem.

Widziałem, jak w brzasku porannym znikło moje potężne państwo w mglistych oparach wilgotnych łąk; na mojej głowie stopiło słońce królewską koronę, w złotym pyłe słonecznym rozwiały się moje pałace i ogrody, i znowu łamie się gniew rozbitych fal, i znowu noc, ciemna noc nad morzem.

Głębia walczy z zatorami, wyrzuca w górę czarne odmęty, dwie gwiazdy wdzierają się w chmurną noc i rozpryskują błyszczący szron na morze.

A zwolna rosna wokół dwóch gwiazd czerwone tęcze,

skłębiają się w chmury, leją się po niebie falami ognia i kołyszą się na niem płomienną lawą.

A dwie gwiazdy — to dwa wściekłe ogniska, wdrażają się w niebo, gdyby dwa olbrzymie kratery, drą w strzępy ciemną noc i leją potoki ognia na morze.

I chwilę stoi morze w kipiącym potopie płomieni, zarzuca swe ogniem rozszalałe ramiona na niebo, wspina się na jego krańcach w górę, a ze wszech stron niebo zdaje się wchłaniać w swe głębie ogniem buchające wary.

A w tym pożarze wodnych bezdroży widzę Cię z wyciągniętymi ramionami, z płonącymi włosami, co jak ognista fala rozwarkoczonych komet po niebie się rozwiły.

Zwolna gaśnie płomienny cud, niebo dogorywa, dwie gwiazdy tlą mdłym blaskiem, ale widzę Cię jeszcze, widzę jaśniejącą Twą postać i złoty krąg światła wokół Twej głowy.

W takim świętym blasku raz Cię już widziałem, gdy moje potężne słowo z łona wieczności do życia Cię zbudziło:

Bo byłem Bogiem!

Byłem wszechwolą ziemi, przez którą się wiecznie od nowa przetwarzała, byłem siłą, rozdzielającą wody od ziemi,

byłem rozumem, który wykreślił dla gwiazd niezmiennie tory,
i byłem sercem wszechświata, jego tętnem i karmią.

Byłem słońcem, a wokół mnie krążyły światy w niezmiennym pędzie, byłem potęgą czasu, co skrzepiła ogień, skruszyła skały i stworzyła urodzajną glebę, byłem mądrą opatrnością, co przygotowała łono matczyne dla nasienia wszechżycia.

Aż nadszedł czas, kiedy ma twórcza wola osłabła, moje myśli błądziły nad oceanem, zawisły niebem bezsily nad jego przestworzem, albo zbiły się w chmurę i siadły na dzikich skałach i w smutnym zadumaniu patrzyły w słoneczność bezprzestrzennych dali.

A gdym kąpał moje dzieło w białym świetle, gdym rozciąpał dale w błękitnych mgłach zmroku, gdy zmęczony dniem gasiłem światła i otulałem ziemię w czarne żgło nocy, gdy jedna wieczność po drugiej błyskawicą prześliznęła się przez mą duszę, ogarnął mnie niepokój, bom czułem, że jeszcze jedno wielkie pragnienie czeka swego: „Stań się!”

I długo myślałem o spełnieniu tej ciemnej tęsknoty, ale daremnie kruszyłem światy, a z ich skorup tworzyłem nowe, daremnie niszczyłem porządek wszechrzeczy, rzucałem gwiazdy na nowe tory, przyspieszałem ich bieg i nowymi światy krzyżowałem ich drogi, daremnie zmieniałem noc na dzień,

gasilem światło i na nowo je wzniecałem, ale nic nie mogło zaspokoić mego pragnienia, nic nie spełniło obietnic mej tęsknoty, i smutny i zmęczony patrzyłem na mój bezpłodny trud.

Aż wreszcie nadeszła chwila, gdy, przeczute tęsknotą słowo, miało się stać ciałem: wola moja ogarnęła wszechświat, wstrząsnęła nim, jakby go z posad wyrwać chciała: w nocy wielkiego cudu błysnąłem jak słońcem piorunem słowa, co światy tworzyło i w proch je kruszyło, i z wielką mocą krzyknąłem: „Stań się!

I powstałaś!

A ze źródła mej potęgi spływała bezgraniczna łaska w Twoją duszę, aż całą ziemię objęła, tysiącem zmysłów wnikła w jej najskrytsze tajnie, zatrzymywała gwiazdy w ich biegu, odczuwała najtajniejsze dale przyszłości, a łaska moja płynęła na Ciebie, płynęła, aż moc Twoja mojej się zrównała.

Dałem Ci moc i piękno, i byłeś tem na ziemi, czem ja byłem na niebie.

Kochającemi rękoma sypałem na Ciebie smętny blask zadumanych gwiazd, kapałem Cię w świetlistych roztoczach srebrnych księżyców, nad Twą głową rozwiesiłem niebo cudu i dziwów, a nagą ziemię w raj zamieniłem.

A z woli mej woda poryła ziemię w szerokie bruzdy, stopiłem odwieczny śnieg na szczytach gór, zwałem lodowce w morze, gorącym strumieniem utorowałem drogi przez lodowate oceany, przepaliłem ziemię mem światłem aż do dna i z drżącym pragnieniem rozwarło się jej łono dla siejby życia.

Pełnemi rękoma siałem zarodki na wiosenną ziemię. A gdzie niedawno kruszyły się przez całą wieczność nagie góry, rozkwieciły się tęczowym przepychem rajskie ogrody; gdzie niedawno dzikie burze piętrzyły góry piasku i rzucały je w niebo, rozłożyły się rozkosznie łąki i bujne pola złotych zbóż, a gdzie skaliste złomy sterczały najeżonym grzbietem, wybiegały w niebo dziewicze lasy olbrzymich palm i kokosów.

Po nagich ścianach skał pięły się rozkoszne winnice, czarne moczary i bagna porosły olbrzymim liściem i żółtem kwieciami wodnych róż i nenufarów; wokół jezior wybujały lasy trzciny i sitowia, a czeluście i urwiska pokryły się nieprzedartym gąszczem bluszczu.

Ale daremnie siliła się ma potęga, by coraz to rzadszy przepych z ziemi wyczarować, daremnie nieciłem na niebie tysiącznobarwne ognie i tęcze, daremnie tworzyłem nowe cuda i dziwy — wszystko daremnie.

Widziałem Cię smutną i cichą w ciepłych pieszczotach

półmroku, owianą oddechem rozkwitłych róż, tęczą gasną-
cych kwiatów spowitą, widziałem, jak błdziłaś w zacza-
rowanych ogrodach wśród czarnych palm, gdyby błdny ognik
świętojańskich nocy.

Widziałem Cię smutną i cichą, jak płynęłaś z gór, gdyby
nikle jaśnienie mgieł na mrocznych dalach.

Widziałem Cię, jak dumałaś nad brzegiem morza, rozwiana
w cichych pieśniach fal, co echem dalekich snów na brze-
gach się tliły.

A gdy wszystkie ognie na szczytach gór pogasły, gdy
ostatnie blaski haftowały złote szlaki nad szczytami lasów,
gdy się ostatnia pieśń rozwiała, gdy w nocnej ciszy prze-
kwitł ostatni dźwięk, wtedy czołgało się morze do Twych
stóp, zwolna obejmowały Cię fale senną pieśczęcią, brały
Cię i niosły, niosły ku nieznanym brzegom.

Jak we śnie szłaś na morzu, Twe oczy szeroko rozwarte,
błdziły w mrocznych dalach, a przez gładką toń wlokłaś za
sobą płomienną falę Twych złotych włosów.

Błdziłaś samotna, strojna w przepych mego rajy, a serce
Twe więdło w tęsknocie, jak kwiat w żarach słońca podzwro-
tnikowego.

W Twych snach wyciągałaś swe blade ręce ku nieznanemu Bogu, oczy Twe szukały tego Boga, którym oddychałaś w woni swych ogrodów, którego piłaś w pieśniach oceanu, a promieniałaś go w dale światłem, co Cię opływało.

A gdy raz znowu Twe włosy zmrok morza jaśnieniem białych gwiazd przeświecały, spadła noc z Twych źrenic, i ujrzałaś mnie na przeciwnym brzegu.

Chwilę patrzałaś zdumiona, przez chwilę rozbłysła łaska mej miłości ognistym słońcem wokół Twego czoła, a naraz, jakbyś się roztopiła w zorzach wieczornych, spłynęłaś w górę.

Tak opada rosa, gdy wiatr poranny przez łąki przewieje.

Tak przekwita na brzegu ostatni akord fal, gdy dalekie wiosło trąci o szklistą powierzchnię jeziora.

Tak gaśnie w ciemności płonący warkocz spadającej gwiazdy, i tak spływa potop pijanych barw, gdy na niebie noc milczenie rozściela.

I często tak myślę i marzę, i śnię o moim i Twoim początku i szukam Cię i pragnę.

Zgasłaś jak błędny ognik, rozwiałaś się jak opary mgieł w błękicie brzasku.

Znikłaś, zagasłaś, a może umarłaś, ale wciąż Cię widzę, na

jawie i we śnie, w słonecznych roztoczach i gasnących mrokach. Słyszę Twój głos w szale burzy i w rozkołysanej tęsknocie usypiającego morza: widzę, słyszę Cię, a znaleźć Cię nie mogę.

Czasami siedzisz na krawędzi mego łoża i patrzysz ze smutnym uśmiechem w moje półsenne oczy. Twa łkająca ręka głaszcze me włosy, Twe usta błędzą wieczorną tęgą po mem czole, a gwiazdy Twych oczu piją pragnienie z mej krwi.

To znowu widzę Cię na spienionej grzywie fal, gdy w czasie przyływu morze brzegi zalewa: jak dyamentowy szron błyszczą w żarze południa biała piana na złotych splotach Twych włosów.

A w blasku nocy księżycowej widzę Cię na zrębach skał; słyszę Twe ciemne pieśni w takt morza, co Twe stopy pieszcząc oblewa. W szerokich, stepowych rytinach gwiazd, co się połamaną falą promieni wokół Ciebie rozlały. I zwolna stapia się miesiąc na Twej głowie, i w dyamentowym dżdżu ścieka na ziemię przez jedwab Twych włosów.

A zamyślona, z cichym uśmiechem chwytasz i rzucasz obiema rękoma świetlaną rosę roztopionego miesiąca w milczenie morza, co się wokół święci. I chwytasz i rzucasz obiema rękoma dyamentowy pył w połamaną falę gwieździstych

promieni i z wolna rozkwita wokół Ciebie w skrani tryszczącym przepychu ślubny pierścień morza.

Kołysze się u Twych stóp, odczepia się od wód, owija Cię, wznosi się kręgiem w górę, wplata się w Twe włosy i jakby dyadem, ukuty ze światła księżyca i promieni gwiazd, owieńcza Twe czoło.

Tak Cię widzę często, Ty oblubienico morza ze ślubnym jego pierścieniem, i kocham Cię, jaśniejącą w kaskadach światła, rozkwitłą w tęczach nocy polarnej, bogatą przepychem klejnotu, co Twe czoło opasał.

Ale gdym podnosił kotwice, gdym żagle rozwijał, by wyjechać ku Tobie na morze, ku Tobie, święta dziewico morza, tom widział, jakieś w pomroce tonęła, widziałem Twe czarne oczy, jak gasły w oddali, a zwiewna toń Twych włosów zlewała się z wolna z uroczyskami morza, kędy się święte cuda spełniały.

Już gasną gwiazdy, budzi się morze, a jak echo zgasłego szczęścia rozdźwiękło w mej duszy Twe ostatnie spojrzenie.

Powiędły róże, drżą w błękitniejących całunach nocy, które brzask rozwiewa, a z krzaku głogu opadły liście, jak dźwięki harfy, niewidzialną ręką trącone.

Budzi się morze i dzień się budzi, a jak nikły cień ziemi,
rozlałaś się na niebie i spłynęłaś w świtach błękitu.

Po wszystkich morzach Cię szukałem, całą ziemię zjecha-
łem a znaleźć Cię nie mogłem.

A przecież siedziałaś obok mnie na tronie niebieskim.
Droga mleczna była u stóp naszych, promienie wszystkich
gwiazd opłoty świetlanymi wieńcami nasze skronie, a oczy
nasze nieśmiertelne chłoneły w świętej ciszy boskości niepo-
kalane piękno wszechświata.

Razem z Tobą utraciłem rozkosze raj, i opętany orkanem
burz, olśniony potopem błyskawic, co na czarnym niebie
ryły runy moich przeznaczeń, niósłem Cię na mej piersi, nió-
słem Cię, moje biedne dziecię, i szukałem miejsca, w którym
mógłbym Cię do snu ułożyć.

I znowu królowałaś ze mną ponad ludami i obszarami: na
Twoje życzenie szło tysięcy tysiące moich niewolników w nie-
chybną zgubę, aby tylko mogli rozpostrzeć u Twych stóp
rzadki przepych piękna; całe miasta stały w płomieniach,
kiedy lękałaś się ciemności w bezsennych nocach; całe mia-
sta z ziemią zrównałem, byś mogła widzieć moje zwycięskie
okręty, kiedy do portu wbiegają.

Tuliłaś się do mnie przerażona oczyma Ukrzyżowanego,
gdy już słupem stawały. Na moich rękach wyniosłem Cię

z wiecznego miasta, kiedy hordy barbarów rzuciły pochodnie w wspaniałe świątynie, a przy mym boku jechałaś na koniu, w stal okutym, kiedym w świat ciągnął, by grób święty moją krwią odkupić.

I jak daleko sięga moja nieśmiertelna dusza, widzę Cię wciąż obok siebie. Tysiąc razy rozbiła dusza moja skorupę mego ciała i ucieleśniła się od nowa, ale wciąż byłem razem z Tobą.

A teraz rozumiem.

Naraz wiem wszystko.

Nie byłem bogiem, nie byłem królem, nigdy nie opuściłem tego brzegu, nad którym stoi moja chata.

Och, na tym brzegu śniliśmy długie dni szczęścia, błądząc wśród skał po wąskich a krętych ścieżynach, a w ciemnych przepaściach rwaliśmy rzadki kwiat paproci.

Och, na tym brzegu czułem w mej dłoni gorejącą Twą rękę, słyszałem Twój śmiech, jak płonął cichem jaśnieniem w ciemnych nocach, a sny Twoje były o me serca, jak białe skrzydła ptaka.

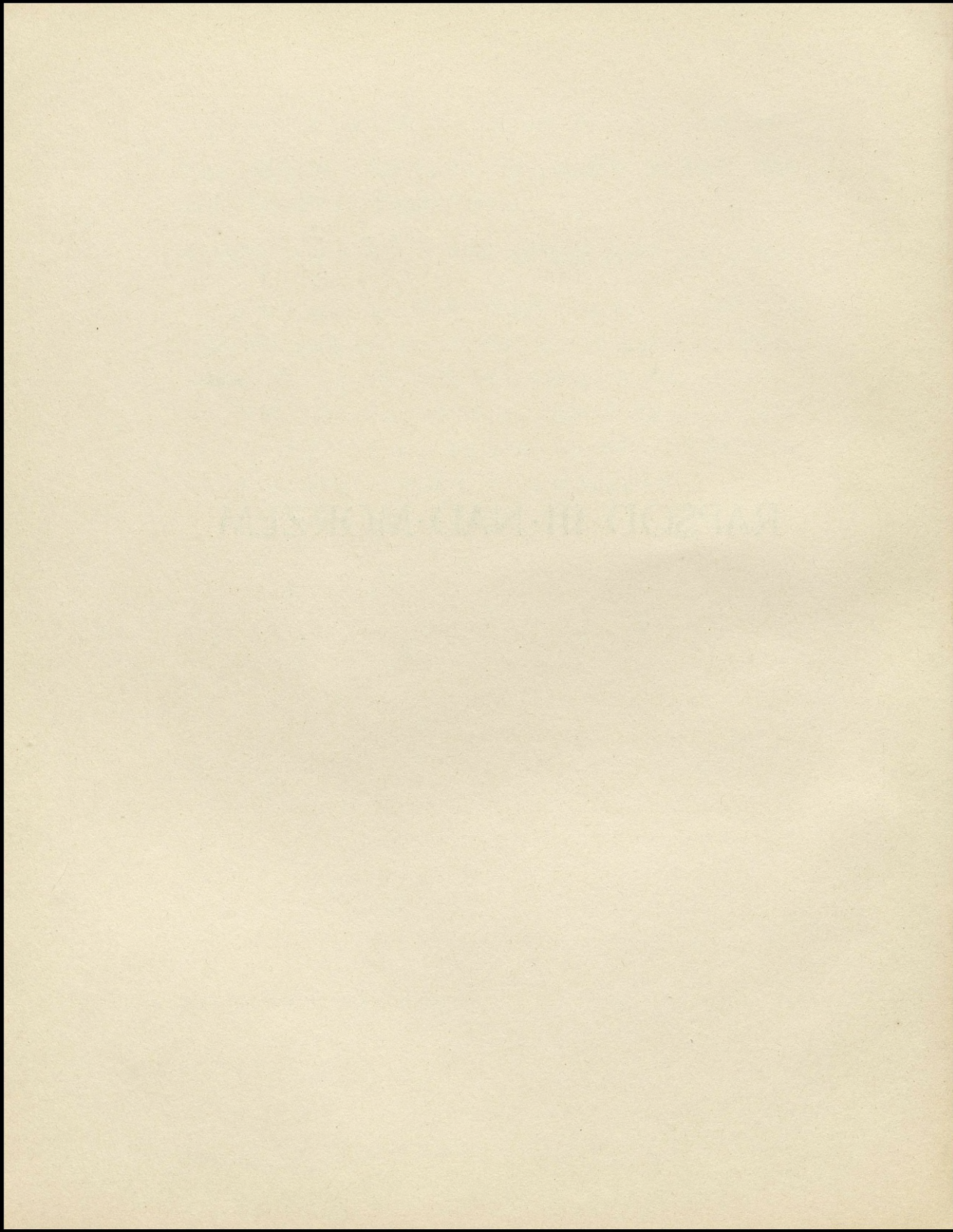
Nie byłem bogiem, nie byłem królem, bo od początku byłem synem morza, a Ty ukochana — niepochwytym

snem, który noc księżycowa, pijana szalem i rozkoszą, śpiewa na lśniących roztoczach wód.

I znowu nadeszła godzina, błękitem spowita, godzina bólu i tęsknoty, kiedy morze mi śpiewa bolesną pieśń o Tobie i o mnie: straszny ból moich mrocznych przeznaczeń.

I znowu przeżywam wielką noc cudu, kiedy po raz pierwszy Twoje spojrzenie się w mą duszę wświeciło, jak świetlany rozbłysk szczęścia i smutku i wiecznej tęsknoty.

RAPSOD · III · NAD · MORZEM





Morze szalało. Parowiec szamotał się w wściekłych zapasach z burzą; ostrym kadłubem rozrzynał olbrzymie bałwany, łamał wściekle nawroty spienionych wałów wody, a o szyby okien kajuty biły pijane fale z głuchym jękiem.

Myślałem o mej dalekiej ojczyźnie, o posepnych ścierniskach w cichym blasku jesiennych nocy. Myślałem o domu rodzinnym, o gnieździe bocianiem, które kiedyś uplotłem na samym szczycie stodoły; zamajaczyły mi tęskne dumy, które mi stara piastunka śpiewała, przędąc len w zimowe wieczory.

Parowiec cofał się w tył, by nowym zapędem szturmować

spienione wiry morza. Naprzeciw mnie grało dwóch podróżnych w karty, inni spali wokół na ławkach; nawpół śpiący wpatrzyłem się chwilę w obce twarze, wsłuchiwałem się w jednostajny huk maszyn, w wycie trąb, dających sygnały. Naraz drgnąłem...

Spostrzegłem drobną twarz kobiety, nieruchomie ku mnie zwróconą, bladą i jasną, jak światło miesiąca; spostrzegłem oczy — oczy... Nie pomnę ich kształtu, nie dostrzegłem ich barwy, czuję tylko, jak drobne, błagalne ręce ujęły w drżących pieśczołach moje serce, tuliły je i całowały.

Na chwilę zadrgały jej usta, jakby mi chciała coś powiedzieć, jakby czekała, bym ja jej coś powiedział, ale tylko przez błysk chwili. Znowu twarz jej zastygła.

Tylko jej oczy błyszczały i wpiły się głębiej jeszcze w me serce. Rwało mnie coś, by powstać i pójść, gdzie mnie te oczy powiodą. Czułem, że gdy powstanę, będą jak gwiazdy płomienie nademną taką wielką mocą, że poniosą mnie przez wszystkie burze i morza.

Nie wiem, jak długo oczy nasze w tem spowiciu milczały. Nie wiem, była to jawa, czy sen? Bo oto prysło światło w jej oczach, głowa jej opadła na poduszkę i znikła we fałdach jedwabnych szalów.

W ścisku, na pomoście, prowadzącym do przystani, zniknęła mi z oczu.

Szukałem jej; och, jak jej szukałem!

Od rana do późnej nocy włókłem się, trawiony gorączką i tęsknotą; szukałem jej po wszystkich ulicach, rojących się niezliczonym tłumem ludzi.

Dopatrywałem się jej w każdej kobiecie; zdawało mi się, że ją widzę w każdym oknie, jak za mną śledzi, a przed sobą widzę wciąż te oczy z palącym pytaniem, czy nie przyjdę, czy nie pójdę za nią.

I widziałem te oczy, jak się zapalały, jak błyszcząły, gdyby węgle żarzące; widziałem je, świetliste białą łuną elektrycznych lamp, a często w pomroku, stojąc nad brzegiem morza, widziałem wokół nich tęczowe mgły, jakie się widzi wokół gazowych latarni, gdy się na nie patrzy przez szronem pokryte szyby.

A im dłużej szukałem, tem szersze kręgi rozłaczała luna tęczowa wokół tych oczu, tych dwóch gwiazd płomienistych. Na całym niebie rozkwitły dwie olbrzymie tarcze światła, czerwona mgła zaległy krańce ziemi, aż w końcu dwoje tych oczu, jak dwa krwawe słońca, zanurzało się w morzu — niedościgłe.

Szedłem pogrążony w potwornych snach.

Mógłbym może wyzdrowieć, gdybym mógł zabić, unicestwić dwoje tych oczu.

Przedemną na złotej misie leżały oczy, dziko rozwarte — oczy, gdyby dwie wściekłe pięście, ziejące zemstą, oczy Jana Chrzyciela. Z rozkoszą tygrysyca pastwiła się nad nimi córka królewska, biła je i kłuła te oczy kochanka, które nią wzgardziły. Poiła się ich niemą rozpaczą, ich bezsilną zemstą, aż wreszcie wbiła w nie ostrą, złotą igłę. Dwie nitki krwi trysnęły w górę, oczy podskoczyły w ostatnich kurczowych podrygach, krzyknęły strasznie i stanęły słupem.

Córka królewska zaśmiała się radośnie. — Śmierć tych oczu zdjęła urok z jej serca.

Takim błędnem kołem biegły me myśli, gdym chodził i szukał.

A stojąc znowu pod wieczór nad brzegiem morza, usłyszałem przeciągły głos, jakby go mgły z obcych krain przywiały, głos, pełen wabiących pieszczot i nęcących zagadek. Dźwięk jego zdawał się nie mieć żadnego początku, a spływał w nieskończoność, pierścieniem wieczności zlewał się ze sobą.

Naraz dusza ma ogarnęła niepojętą tajemnicę.

Ten raj śpiewały mi oczy, których tak rozpacznie szuka-

łem. Ten raj śpiewało mi morze. A ten głos, który teraz wabił
me serce w odległe dale, ten głos wśpiewał i w jej duszę
swoje ciemne gwiazdy.

Bo taką rozkosz śpiewa tylko morze.

Tak się poczęła moja święta miłość.

Nigdy go przedtem nie widziałem, choć moje serce czę-
sto ścieliło swe błędne sny gdzieś na roztozczach jego mgieł.

Teraz dopiero pojąłem, że od samego początku było we
mnie i ze mną, krew z mojej krwi, moje dziecko, siostra i
oblubienica moja:

Morze!

I nikt go tak nie kochał, jak ja je kochałem.

O ten cud nad cudami: Słowo, co morzem się stało.

Kocham je, gdy świt się wyzwala z lubieżnych uścisków
nocy, swoje krwią obryzgane ramiona na niebo zarzuca, a
olbrzymia korona, gdyby w ogniu stojąca kępa koralowa, na
całym wschodzie czerwoną łuną się pali. Wtedy się morze
wspina na niebo, wgryza się w jego głąb tysiącem purpu-
rowych języków; nad morzem, co z niebem się złało, wyra-

stają złote pałace, kwitną czarowne ogrody. Na niebie wicherzą się potworne paprocie, liście palm, jak z płomiennych kryształów ciosane, kielichy orchidei, w olbrzymie kiście spowite.

Kocham je, gdy słońce w upalne południe sypie dyamentowy piasek na lekko pomarszczoną toń i w rozszalałym zamęcie światła, gdyby święta monstrancja skrzy się nad morzem.

Kocham je, gdy burza je chwyta w swe wściekłe ramiona, ku niebu ciska i o skały rozbija, lub spienione jego bałwany, gdyby potoki lawy na brzeg wyrzuca —

ale nade wszystko kocham je, gdy godzina zmroku, krwią i błękitem spowita, do jego łona się tuli —

kiedy odgłosy dalekich dzwonów wolno, w cichym smutku, gdyby płaty śniegu, w bezdenne głębie się sypią —

kiedy wspomnienia z cichym szumem ulatujących skrzydeł o niebo trącają —

kiedy smutek tęsknoty na duszę sływa z tajemniczym szelestem spadających liści, przegryzanych jadem jesieni.

Wtedy je kocham najwięcej, siedzę na stromych ścianach skał i chłonę wieczność...

Wokół wiekuiście cichych, śniegiem pokrytych gór, sta-
cza noc w czarne otchłanie swoje ciemne brzemię.

Na głębie morza rzucają skały posępne cienie, co w glu-
chej ciszy strzegą grobu zapadłych słońc.

Już wspina się morze lśnięciami mgłami na krawędzie nieba,
już ścielą gwiazdy na zamilkłej toni swe blade sny, — niby
drgnienie wieczności prześlizgła się przez niebo krwawa bły-
skawica i spadła w milczenie, co się wokół morza święci:

Zapomnij serce, zapomnij!

A z kwiecica wieczności, co w śniegu pysznych gór wyro-
sło, wzlatuje na morze ciemny dech pieśni.

Błękitna ręka wysuwa się zwolna cichą modlitwą na wodę,
drżącymi palcami trąca o fale, gdyby o paciorki różańca, nad
ciemną głębią rozwiesza żałobne kiry i słyszę, słyszę świętą
gęźbę bólu: Lat sto, a wszystko przemienie.

A święta msza morza, światło co z dna jego wykwiła
i z kielichów gwiazd napowrót do dna spływa, pieśń gór, co
łka w żałobnem omdleniu morza, to wszystko ton jeden, je-
den sen złoty, jedno szczęście rozpaczne:

Lat sto, a wszystko przeminie.

A oto rozwarła dusza moja swe białe, burzą zwichrzone skrzydła od jednego krańca nieba do drugiego; ujęła morze w swe ramiona, i pierś przy piersi, w rozkosznym spowiciu, spoczęło morze i dusza moja.

O nocy upojenia, nocy obłąkania!

Błądzące meteory wicherzą się w mem sercu, z namiętmem pożądaniem tulę do mej piersi twój gorączką spiekły zmrok, i piję, chłonę w chciwym pragnieniu moje wielkie szczęście —

O jasna moja — o morze moje!

Nikogo jeszcze morze z taką mocą nie ukochało, jaką mnie kocha.

Bo moja dusza, toć to morze samo. Te same bezbrzeżne dale, ta sama spieniona pycha, ten sam rozpęd i szal.

Kochało mnie morze i długie lata żyłem z niem razem, jego cichą modlitwą wieczorną kołysałem stęsknione serce

do snu, a budząc się, wznosiłem się wraz z niem pod świetliste i modre rozbrzaskiem niebo.

A stało się, że razu pewnego, kiedy nadeszła godzina wieczorna, a morze poczęło śpiewać swe święte pieśni, ujrzałem ją, siostrę i oblubienicę moją, której tak długo szukałem.

Oczy jej skrzyły jak gwiazdy, a głos jej — to głos morza, który kiedyś słyszałem nad wieczornym brzegiem...

Przyszła jak gołębica, burzą w dalekie strony zagnana, przyszła jak zbłąkana mewa, która szuka miejsca, gdzieby sobie nowe gniazdo usłać mogła.

Tysiące mil, przez rzeki i góry szła za jutrznią wieczorną, za gwiazdą, co od wschodu nad morze się wznosi.

A kiedy wyszła z lasu, co rośnie nad brzegiem morza, padła na twarz i łkała niemą modlitwą.

Wokół stała się cisza, jakby wszelkie życie w trwożnej pokorze zamilkło.

I kląkłem przy niej, całowałem jej ręce i stopy, a potem wziąłem ją w silne ramiona i zaniósłem do mej chaty.

Nogi jej były poranione i krwawiły.

I obmyłem jej stopy i całowałem święte rany.

Odtąd byliśmy zawsze razem.

Wokół nas krzyczały bezgłośnie błyskawice.

Ale w odmęcie naszego szczęścia, w parnych splotach ciał naszych, w namiętym uścisku naszych dusz, zapomnieliśmy o piękności morza.

A morze szalało.

Razu pewnego, gdy w ciemnej, jesiennej nocy zwiła bezwładnie w mych objęciach, zawrzało morze straszną burzą.

Struchlałem. W oczach mi przysły krwawe pioruny, ręce opadły, a dusza z przerażenia oniemiała.

Morze ryczało przeciągłym rykiem, ciskało się o skały z hukiem wodospadów, coraz silniej, coraz wścieklej, jakby je z posadami chciało na brzeg wyrzucić.

W obłądnym strachu wybiegłem na skały.

Wyżej ponad najwyższe szczyty kościołów wyrosły nagle dwie olbrzymie fale. Rzuciły się na siebie jak dwa wściekłe szakale, poczęły się mocować w rozszalałych zapasach, rozbiły się w pianę, znowu w niebo wyrosły, a w ogłuszający huk morza zlewały się straszne jęki rozbitków, piekielny trzask dwóch statków, które morze gdyby dwa okruchy na siebie rzuciło, ryki sygnałów i przeraźliwe wycia o pomoc.

Widziałem jeszcze, jak na szczycie coraz wyżej piętrzącej

się fali zakołowało czółno ratunkowe i w przepaść się zwa-
liło, a w czarne kłęby chmur, które noc na szal morza sto-
czyła, wgrzyzał się bezsilnem drzeniem słaby płomień latarni
morskiej.

Wróciłem do chaty. Spojrzała na mnie pytaniem, jakim
się krwawi dogorywająca gazela, oczy jej wpiły się chciwie
w mą duszę, pełne lęku i przestachu. Odwróciłem głowę.

Noc całą nie przemówiliśmy słowa. Ale czułem, jak jej
oczy wpijały się bólem i niemocą w ciemną noc.

Odtąd gasła nasza miłość i bezwładniała w ciągłych zapa-
sach z obłąkaną zazdrością morza.

A stało się, że morze znowu ciskało z hukiem grzmotów
olbrzymie bałwany na naszą chatę. Oczy nasze spotkały się
w jakiejś strasznej, rozpacznej niemocy. Jej usta zbiełały, a
drżała tak, jako drga serce, świeżo z piersi wyrwane.

Naraz coś ją targnęło, wybiegła na skały i córka burz i
szału rzuciła się w odmęty pianą tryskających wirów.

I nagle, jak gdy żelazna pięść osadza rozhukanego żrebca
tuż nad skrajem przepaści, stała się cisza.

Kornie opadły bałwany i morze wypogodziło się do da-
wnej piękności i słonecznego majestatu.

I cichym uśmiechem zabłysnęły jego przestworza, bo znowu wróciło mu serce.

Bo jej serce było jego sercem.

Morze samo mi to objawiło.

Raz, gdy dusza moja rozplynęła się w smutku nad morzem uczułem nagle bijące serce w koło siebie, czułem jak bije o me piersi, widziałem, jak w morzu tonie, jak w szybkim pędzie ponad niem ulatuje a naraz uczułem jego szybkie, gorączkowe drgania wokół mej twarzy niby trzepotanie ptaszych skrzydeł w kurczach przedśmiertnych.

Dreszcze przebiegły po mem ciele; serce moje, straszną trwogą zdjęte, w krtani mi wrastało. Krzyczałem, gwizdałem, by strach zagłuszyć, ale wciąż czułem, jak to serce o twarz moją bije, jak o pierś moją gwałtownie się tłucze.

I serce rośnie — rośnie, jednym zamachem rozerwało gęstą noc i gdyby piorun wpadło do morza.

A teraz puka cała ziemia — drga — trzęsie się. Coraz głębiej wwierca się serce w jej ciemne wnętrze i oto roztwiera się dno morskie i wszystkie krew ziemi, wszystkie rzeki, jeziora i oceany spływają do serca ziemi.

Dusza moja wyciąga długie, drżące ręce w bolesnej tęsknocie. Wdzieram się na najwyższe góry, a na potężny rozkaz mój staczają się z wszelkich gór szczytów lawiny śnie-

żne w morskie odmęty, aż tam, gdzie niedawno jeszcze lśniły wodne roztocze, zasiniała olbrzymia płaszczyzna śniegu.

Bo tak mi moja tęsknota powiedziała, że w czarnej nocy zobaczę na lśniącym śniegu cień mej gołębicy, przepływający ponad globem.

Ale nie dostrzegłem cienia.

I na potężny rozkaz mój staczają wszystkie lodowce ziemi olbrzymie głazy lodu, aż wreszcie tam, gdzie niedawno siniały bezdroża śnieżne, zazieleniały posepnym opalem bezkresne obszary lodu.

Bo znowuż podszeptała mi tęsknota moja, że w tej czarnej nocy ujrzę ją nad lśniącym lodem, że wytrysnie jako płomień, jeżeli serce jej jeszcze żadnym pragnieniem ku mnie bije.

I oto, niby ognista nitka wytrysnął naraz płomyk; w jednej chwili rozrasta się w krzew, rozlewa się w ognisko, leje strumienie ognistych warów na bezkresy lodowe. Błyskiem piorunu zamienia się śnieg i lód w jedno morze ognia, święte serce morza poczyna bić i znowu wyrzuca na wrzące lawy ognia swą krew: potopy rzek, jezior i oceanów chłoną pożar wszechświata.

I znowu lśnią mgły nad morzem, znów świeci się milczenie światłem miesiąca wokół zrębów ziemi i znowu zlewają

gwiazdy złotemi tętnicami swe blade światło aż na dno oceanów.

Nigdy mnie jeszcze tak jak teraz morze nie kochało.

Wszystkie swoje tajemnice mi powierzyło, swoje oczy, swój głos, swoje serce.

Kochało mnie wielką, dziewiczą miłością. Nikogo już nie znosiło na swych falach, niszczyło tysiące pancerników, niby łupiny orzechów, a tysiące ofiar, tysiące potwornie rozkładających się zwłok ludzkich pokryło brzeg mojej skalistej wyspy.

Tylko ja, ja jedyny, Ja, syn morza, syn jego tajemnic, jego burz i obłądów, Ja jedyny mogłem się błąkać po jego bezdrożach. —

I jednej ciemnej nocy wypłynąłem na jego bezdenne otchłanie. Długie, wąskie czółno tańczyło jak fryga po toniach. Ponad ziejące przepaści przeskakiwało z jednej fali na drugą, staczało się z jednej głębi do drugiej, jak kropla rosy spadało z szczytów fal w bezdenne gardziele wirów i lotem strzały wlatywało znowu na pienne ich grzebienie.

Krzyczałem z zachwytu nad igraszką, jaką morze bawiło swego syna.

Nagle stała się cisza. Morze wygładziło się jak bezchmurne niebo.

I spostrzegłem naraz, jak łódź moja wydłuża się, rośnie w nieskończoność od jednego brzegu do drugiego; czułem jak nabiera życia, jak staje się ciałem, jak ciepła krew w niem krążyć poczyna.

Z obu stron wspięło się morze, a dwie ściany wodne, gdyby dwa wydęte żagle wrosły w olbrzymie ciało; dwa potworne skrzydła zaszumiały: siedziałem na grzbiecie ogromnego ptaka, co rwał się niespokojnie, jak do lotu.

I naraz zatrzepotały skrzydła i zwolna oddzieliło się morze, co ciałem się stało, od dna. Z ogromnym majestatem rozwinęły się skrzydła jego od jednego krańca nieba do drugiego, morze-ptak wzbil się ponad obłoki — i nagle patrzałem w jakieś przepaściste czeluści, jakaś gwiazda dogorywała niby tłący się wiór:

To ziemia!

I znowu stacza noc dookoła wiecznie cichych, śniegiem pokrytych gór, w czarne otchłanie swoje ciemne brzemię.

Upalna spiekota słońca dogorywa na widnokręgach nieba; kojącym chłodem wznosi się cisza ku błękitom, a jako dreszcz wieczności rozświeca się błyskawica nad morzem.

W nieskończonych oddalach spływają pobliza, z lśniących błysków wyplata dusza na rozchwiei wodnej iskrzącą tkaninę snów, a w przeczuciu wieczności płonie królewską potęgą moje szczęście rozpaczne:

Lat sto, a wszystko się prześni.

Rozprysła się radość, szczęście przekwitło, dawno już się cierpienie prześniło. Tylko morze zostanie i miłość moja zostanie, co z ciemnych głębin jego tajemnic w płomiennych snach wykwita.

I znowu roztaczam moje białe, życiem zmęczone skrzydła od jednego krańca morza do drugiego, w roz tęsknione ramiona ujmuję jego bólem spiekły zmrok i tulę do siebie i piję jego wieczność, moje wielkie tajemne szczęście —

O jasna moja — o morze moje.

Kristianiafjord i Playa dela Mera 97/98.





39592/

2